

MARIUSZ CZUBAJ



Martwe popołudnie

1

Tego czerwcowego wieczoru przynajmniej trzy osoby nie zaliczyły do udanych. Pierwszą była ofiara, drugą morderca. Trzecia i tak miała sporo szczęścia. Tyle że życie na ogół nie lubi szczęśliwych zakończeń. A nic, zwłaszcza szczęście, nie trwa wiecznie.

W ostatnią sobotę czerwca 2013 roku poseł Sławomir Młynarczyk przyjechał do Gdańska. Lubił to miasto, a nawet darzył je sentymentem, który pozostał z czasów, gdy wynajmował pokój w starej części Wrzeszcza, tuż przy fontannie z baletnicą, i studiował na pobliskiej politechnice. Także tu, jeszcze jako student z ambicjami, stawiał pierwsze kroki w polityce, aby po latach dotrzeć niemal na sam szczyt, który wydawał się na wyciągnięcie ręki. Drgania i poważniejsze tąpnięcia w gospodarce, drobne afery, większe przekręty i salonowa walka partyjnych buldogów, charakterystyczna dla czasów niepewności i przesilenia — wszystko to sprzyjało jego planom. Jeszcze jeden wysiłek i niezbędna w jego fachu doza cierpliwości, mówił sobie w

rzadkich chwilach zwątpienia, a marzenia się spełnią. Karierę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zakończył równie szybko, jak rozpoczął, gdy uznał, że nie tędy, nie przez ministerialne posady, będzie prowadzić jego droga. Jednak to właśnie wtedy nauczył się tego, co najważniejsze: kluczem do wszystkiego jest wiedza. Wiedza o ludziach. Im więcej o nich wiesz, tym dalej zajdziesz. Im więcej wiesz o osobach ważnych, tym jesteś cenniejszy. Im więcej tajemnic, jak mawiał jego polityczny mentor i przyjaciel, tym jaśniejszy świecznik. To życiowe credo wiodło posła Młynarczyka przez życie i zapewniało sukcesy. Aż do pewnego czerwcowego wieczoru.



Dwie doby wcześniej w jego kieszeni zawibrował telefon. Dobiegała właśnie końca kolacja w L'Atelier de Joel Robuchon, na którą polskiego parlamentarzystę zaprosili francuscy deputowani odpowiedzialni za służby specjalne nad Sekwaną. I tym razem potwierdziło się to, że na całym świecie ludzie ze specsłużb trzymają się razem. Młynarczyk po raz kolejny mógł dziękować rodzicom, że zmuszali go do nauki języków obcych. Pod tym względem należał do sejmowej elity, podczas gdy — myślał o tym z satysfakcją — większość jego koleżanek i kolegów z trudem składała zdania w języku ojczystym. Mógł też dziękować Francuzom, dzięki którym miał wreszcie okazję spróbować sławnego purée ziemniaczanego Joela Robuchona — artysty wśród kucharzy i zdobywcy dwudziestu ośmiu gwiazdek Michelina.

Oko czujnego obserwatora, a takich tego wieczoru w L'Atelier nie brakowało, spostrzegłoby, że polski poseł między jedną a drugą porcją purée zawahał się, a następnie odłożył widelec, by lewą ręką sięgnąć do prawej kieszeni marynarki. Nigdy nie ignorował tego sygnału. Ten numer telefonu znało tylko kilka osób. Na wyświetlaczu pojawiły się literki GG. Do poszczególnych numerów nie przypisał imion i nazwisk, tylko inicjały. G.G. Głębokie Gardło — sam nazwał tak kiedyś tego człowieka. Przeprosił francuskich kolegów, wyszedł z sali i odebrał.

— No nareszcie — usłyszał. Jego rozmówca był wyraźnie zniecierpliwiony. — Mam nowy towar. Z ubiegłego weekendu. Pierwsza klasa. Spodoba ci się. Poza tym...

— Jestem w Paryżu, teraz nie mogę. — Młynarczyk rzucił okiem w głąb sali restauracyjnej. — Zdzwońmy się po moim powrocie.

Już miał się rozłączyć, ale ciekawość była silniejsza.

— Był ostatnio ktoś nowy? — zapytał.

— A jakże! — Rozmówca się roześmiał. — Nie uwierzysz kto! Pustak we własnej osobie. Nasza sieć się zapełnia.

Zapadło milczenie. Nie. To nie tylko ciekawość sprawiła, że Młynarczyk kontynuował rozmowę. W ciągu ostatniego roku rozmawiali wiele razy. W głosie Głębokiego Gardła tym razem pobrzmiwał ton, którego wcześniej nie słyszał. Zmiana była ledwie wyczuwalna, ale Młynarczyk był przecież mistrzem w wychwytywaniu takich niuansów. To między innymi dzięki spostrzegawczości budował swoją pozycję.

— Zacząłeś mówić o... Czy... czy wszystko w porządku?

— zapytał cicho, chociaż miał pewność, że nikt go nie podsłuchuje.

— Jest jeszcze coś... — W głosie GG wyczuł wahanie.

— Wydaje mi się, że... ktoś chyba o nas wie... To znaczy ktoś, kto nie powinien... Nie mam pewności, ale zdaje się, że przeszukano moje mieszkanie. Tyle że ja niczego tam nie trzymam — oświadczył zdecydowanie. — Poza tym czuję się tak...

— No jak?

— Jakby ktoś chciał się włączyć w nasze sprawy... Tak czy inaczej trzeba porozmawiać i sprawdzić, co jest nie tak.

— Warto rozmawiać — potwierdził Młynarczyk. — Nawet w telewizji tak mówią.

Zawsze warto rozmawiać, powiedział sobie, gdy wymieniwszy jeszcze kilka zdań, rozłączył się.

□ □ □

Powtórzył w myślach całą tę rozmowę, wychylając się przez hotelowe okno. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta. Jego gość niedługo powinien być. Młynarczyk nie przypadkiem wybrał na miejsce spotkania Gdańsk. W weekend odbywa się na Śląsku konwencja partii, złożone zostaną dziesiątki obietnic, które nigdy nie zostaną zrealizowane, a przyklaskiwać temu będą wszyscy zainteresowani miejscami na następnej liście wyborczej, najlepiej na samym szczycie. Do końca kadencji zostało wprawdzie jeszcze trochę czasu, ale poseł coraz częściej obserwował nerwowe ruchy koleżanek i kolegów, a i pytania o przyszłość, zadawane niepewnym głosem, padały

coraz częściej. W tę sobotę w Gdańsku nie grozi mu przypadkowe spotkanie z kimś niepożądanym. A że zabraknie go na konwencji? O swoją pozycję nie musi się martwić, a po nowym rozdaniu będzie naprawdę mocna. Nareszcie. I nic nie stanie mu na drodze. Głębokie Gardło przyjedzie z Warszawy, będzie miał wystarczająco dużo czasu, by zorientować się, czy nie ciągnie za sobą jakiegoś ogona.

Czy ktoś mógł się dowiedzieć, co robią? Przejrzeć ich plany? A jeśli tak, to kto? Te pytania nie dawały Młynarczykowi spokoju przez ostatnie czterdzieści osiem godzin. Jeżeli GG w drodze do Gdańska zauważy, że coś nie gra, podniesie alarm. Spotkanie się nie odbędzie i trzeba będzie skontaktować się z innymi ludźmi. Bardzo ważnymi. Przymknął oczy. Wyobraził sobie, że jest w miejscu, które kiedyś odwiedzał regularnie. Strzelnica, wokół puste stanowiska, nikt i nic go nie rozprasza, a on uspokaja oddech i oddaje kolejny celny strzał. Bum! Trzeba po prostu zachować spokój. Także w tej sytuacji. GG był świetny w swoim fachu, ale jak każdy... no, prawie każdy, miał słaby punkt. Nikt nie jest doskonały. Może po prostu zabrakło mu pieniędzy oraz szczęścia w proszku i kryształkach, jak zwykły mawiać, i stąd ta niepotrzebna nerwowość. Tak czy inaczej niedobrze. Młynarczyk zamrugnął, jeszcze bardziej wychylił się przez okno i głęboko odetchnął.

Na Wybrzeże przyjechał kilka godzin przed spotkaniem. Skorzystał z bankomatu i pobrał pieniądze z konta, o którego istnieniu wiedziało jeszcze mniej osób niż o jego

drugim numerze telefonu. Zadzwoił właśnie z tej komórki, przeznaczonej do zadań specjalnych, po czym ruszył w kierunku Sopotu. Na stacji benzynowej, znajdującej się przy arterii, która dzieliła miasto na pół, spotkał się z dwudziestolatkiem o twarzy wystraszonego szczura, a godzinę później pojawił się w hotelu Artus.

Był tu stałym gościem. Lubił to miejsce, położone przy samym rynku, nie przeszkadzał mu gwar turystów. Przeciwnie. Zgiełk i ludzie snujący się wkoło fontanny Artusa i kościoła Mariackiego sprawiali, że miasto żyło, a on rozpływał się w tym tłumie i upodabniał do innych. Rok wcześniej, gdy odbywały się mistrzostwa Europy w piłce nożnej, zabalował tu do białego rana z Irlandczykami. Lubił też hotele, w których można otworzyć na oścież okno, ale takich miejsc było coraz mniej. Właściciele podobnych przybytków, w trosce o bezpieczeństwo gości, a przede wszystkim dbając o reputację i statystyki prób samobójczych, instalowali te fatalne uchylne okna, które prawie wszędzie stały się już normą.

Chciało mu się pić. Sprawnie wymijał grupki turystów oraz stragany i gablotki z milionami bibelotów, które mogły się kojarzyć z pamiątką znad morza. Usiadł w restauracji Republika i zamówił piwo czerwone Książęce. Patrzył na Motławę i galeon, przy którym kłębił się tłum chętnych na wyprawę w kierunku Westerplatte. Przy stoliku obok ośmioletni może chłopiec jadł gigantycznego hamburgera, a wyżej chleptał wodę z miski. Republika. Ta nazwa musi pewnie nawiązywać do zespołu rockowego, którego uwielbiał słuchać, gdy był młodszy. W Gdańsku

czuł, że krew i myśli krążą jakoś inaczej, a on sam, choć na chwilę, bierze rzeczywistość w nawias. Może dlatego tak lubił to miasto. To takie proste sprawy. Na przykład, gdy był tu poprzednio, zauważył, że naprzeciwko hotelu Artus jest miejsce zwane Zaułkiem Pocałunków. Wielokrotnie tamtędy przechodził, a nigdy jakoś tego nie dostrzegł. Tak. Proste spostrzeżenia i bezinteresowne przyjemności, na które ma coraz mniej czasu. Trzeba będzie to zmienić, pomyślał. Albo się zestarzeję. Kiedyś. Ale jeszcze nie teraz.

Ciekawe, jakie jeszcze przyjemności czekają mnie dzisiaj? Kto dał się złapać tym razem? Sieć robi się coraz pełniejsza, pomyślał zadowolony. A ja jestem jak cierpliwy, doświadczony rybak. I nawet Pustak dał się złowić. Przypomniawszy sobie zwalistą sylwetkę posła opozycyjnej partii, który z sejmowej mównicy grzmiał o zapaści budownictwa i obiecywał wybudowanie miliona tanich mieszkań, gdy on i jemu podobni dojdą do władzy. Pustak wypchany gównem. Tak o tym geniuszu mówiono na sejmowych korytarzach i w hotelu poselskim po kilku głębszych.

Podniesione dziecięce głosy przypomniały Młynarczykowi, że trwa pierwszy weekend wakacji. Zadzwoił do domu i porozmawiał z córką, która skończyła właśnie czwartą klasę. Kilka tygodni wcześniej rozpoczęli żmudne negocjacje, i w końcu musiał przystać na to, by świadectwo z czerwonym paskiem wycenić na najnowszy model iPhone'a. Teraz potwierdził wcześniej złożoną obietnicę. Twarda dziewczyna, pomyślał z satysfakcją. Już

teraz dba o swoje. Widocznie ma to w genach. Wiadomo po kim.

Pod hotelem grupka osób czekała na występ teatru ulicznego. Jeden z aktorów wręczył mu ulotkę. *Zombie Moon Walk*, przeczytał tytuł. Spektakl o tym, jak politycy zamieniają się w żywe trupy. Dobrze. W sumie sam robię coś podobnego, przemknęło mu przez głowę. Wkrótce zamienię wiele wpływowych osób w polityczne trupy, a ja będę miał nad nimi pełną władzę. Aktorka z pomalowaną na zielono twarzą wręczyła mu dwie maski. Mimo zdeformowanych rysów nie miał wątpliwości, kogo przedstawiają. Obecny i poprzedni premier. Obaj z bielmem na oczach, wyszarpanymi, jakby nadgryzionymi policzkami i strużką krwi w kącikach ust. Wahał się tylko chwilę. Zabierze je do sejmu, będzie niezły ubaw, może nawet trafią we właściwe ręce.

□ □ □

Raz jeszcze spojrzął na zegarek. Kwadrans po dwudziestej. Fasady kamienic skryły się już w cieniu. Założył maskę i wyrztał przez okno. W Zaułku całowała się jakaś para, nieopodal, ze względu na sąsiedztwo komisariatu, stał radiowóz. Na dole tłum widzów gęstniał. Tliło się kilka pochodni, a dwóch aktorów na szczudłach, z maskami na twarzach poruszało się w rytm przeboju Michaela Jacksona.

Młynarczyk nie mógł się powstrzymać.

— Hej! To ja, wasz premier! — krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił, wychylając się przez okno.

Kilka osób zadarło głowy. Widział, jak dziewczynka, z pewnością młodsza od jego córki, wyrywa się opiekunce i macha do niego.

Majestatycznym gestem, jaki przystoi głowie państwa, pozdrowił tych, którzy go zauważyli.

Wydawało mu się, że słyszy elektroniczny dźwięk otwieranych drzwi na korytarzu. Dla Głębokiego Gardła zarezerwował pokój tuż obok. Występ teatru ulicznego przestał go interesować.

Wyszedł na korytarz i zapukał do sąsiednich drzwi. Ktoś najpierw ostrożnie je uchylił, a potem otworzył na oścież.

— No, wreszcie jesteś! — Młynarczyk wszedł do pokoju.

— Cholerne korki — mruknął mężczyzna. — Wlokłem się godzinami. To się nigdy nie zmieni. Masz? Masz to dla mnie? — spytał nerwowo.

Był młodszy od Młynarczyka prawie o dziesięć lat. Inne pokolenie. Ale miał podobny wzrost i posturę. Tyle że poseł stał spokojnie, trzymając w ręku maskę, a Głębokie Gardło przestępował nerwowo z nogi na nogę. Dłonie przyciskał do ud, żeby nie było widać, że drżą.

Poseł sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął torebkę z białym proszkiem i bez słowa rzucił ją mężczyźnie. Była w tym geście zarówno pogarda, jak i czytelny sygnał, kto tu rządzi.

— Nasyć się — mruknął.

GG pognął do łazienki. Młynarczyk zdjął marynarkę i powiesił na oparciu krzesła. Otworzył okno. Transowe takty *Thrillera* stały się głośniejsze. Westchnął. Już niedługo, i nie będzie musiał zadawać się z takimi śmieciami jak ten

ćpun. Zdolny, ale jednak ćpun. Cierpliwości.

Z łazienki szedł inny człowiek. Uśmiechał się trochę głupawo, nieco przepraszająco, a na jego twarzy rysowała się ulga jak po wizycie u dentysty. Przestał się trząść. Przeczesał palcami grzywkę.

— Tego mi było trzeba. Rozumiem, że skombinowałeś więcej?

— Nie miałeś po drodze przygód? — odpowiedział pytaniem Młynarczyk.

— Wszystko gra. Zaraz ci pokażę, co mam. Padniesz! Impra się udała! A potem my się zabawimy. — Głębokie Gardło skierował się do drzwi.

— Dokąd się wybierasz? — Poseł ściągnął brwi.

— Idę na chwilę do recepcji. Przyjmowali jakichś Niemców, był bałagan, więc powołałem się na ciebie i wziąłem tylko kartę do pokoju.

— Bardzo ci się spieszyło. — Młynarczyk czuł narastającą irytację. Nie lubił, gdy ktoś powoływał się na niego, nie pytając o zgodę.

GG się roześmiał.

— Zaraz jestem. A potem sam zobaczysz... Nie pożałujesz! — Uniósł kciuk i zniknął na korytarzu.

Młynarczyk wybijał rytm *Thrillera* na blacie stołu. Jakaś wyjątkowa długa wersja, pomyślał. Usłyszał oklaski dobiegające z ulicy. Podeszedł do okna i zobaczył dwie trumny. Koło nich klęczała aktorka i co jakiś czas wznosiła ręce do nieba.

Popsuję im tę głupią zabawę.

Sięgnął po maskę i wychylił się przez okno.

— Pieprzcie się! — krzyknął i zasłonił twarz.

Na dole musieli go usłyszeć. Znów uniosło się kilka głów. Ktoś się roześmiał.

— Pieprzcie się! — powtórzył i pokazał publiczności oraz aktorom środkowy palec.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale tego nie zrobił. Jego uwagę zwrócił cichy dźwięk dobiegający z głębi pokoju. Zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Po chwili ktoś stał za jego plecami. Młynarczyk odwrócił się gwałtownie.

Zobaczył wycelowany w siebie pistolet. Chciał się poruszyć, ale nie mógł. Chciał zedrzeć maskę z twarzy i krzyknąć, lecz nie był w stanie. Gdyby nie był taki przerażony, wprawnym okiem strzelca dostrzegłby nietypowy model broni.

— Co, do diabła? Czego tu, kurwa... — wyszeptał wreszcie, odrywając ręce od parapetu.

To były jego ostatnie słowa. Zabójca nacisnął spust. Kula eksplodowała w ciele Młynarczyka. Poleciał na okno, rama trzasnęła, posypało się szkło.

Gdy ciało posła uderzyło o dach samochodu i stoczyło się na bruk, dziewczynka młodsza od jego córki zaklaskała. Kilku innych widzów, przekonanych, że wciąż oglądają spektakl, zrobiło to samo i westchnęło z zachwytem. Twarz, wciąż zasłonięta maską, zwróciła się w stronę grafitowego nieba. Dopiero gdy szczeliny między kocimi łbami zaczęła wypełniać krew, rozległ się przeraźliwy krzyk, który odbił się echem od ścian kamienic.

Zabójca tego nie widział. Poruszał się błyskawicznie. Broń o specjalnej, na zamówienie robionej rękojeści, znikła

w kaburze. Miał kilka, może kilkanaście sekund. Ręką w rękawiczce sięgnął po marynarkę Młynarczyka i z prawej kieszeni wyjął portfel. Szybkim ruchem rozsunał plastikowe karty i znalazł tę, której szukał. Wpatrywał się w nią chwilę za długo, niż na zawodowca przystało. Następnie cisnął kartami o ścianę, a portfel schował do kieszeni.

— Sam się pieprz — szepnął i spojrzał w okno.

□ □ □

Głębokie Gardło kierował się w stronę dworca kolejowego. Dziękował opatrznosci, że zesłała mu taksówkarza, który miał dość czekania na spóźniających się napranych Angoli.

Siedział z tyłu i łapczywie chwycił powietrze, jak człowiek po śmiertelnym wysiłku. We wstecznym lusterku napotkał czujne spojrzenie taksówkarza.

W jednej ręce trzymał pendrive'a.

Drugą zaciskał na torebce z białym proszkiem.

2

Mężczyzna podszedł do okna. Nie czuł się tak od wielu lat: osaczony i bezradny. Jak zwierzę. Jak zwierzę schwyte w pułapkę. Był pewien, że ten stan wkrótce minie. Jeszcze tego dnia wszystko wróci do normy. Kilkanaście minut temu odebrał telefon. Wreszcie się uśmiechnął. Będzie nawet lepiej, niż to zaplanował. Na łysinie pokrytej brązowymi plamami pojawiły się kropelki potu, ale je zignorował, tak jak lekceważył nasilający się ból w klatce piersiowej. Był twardym człowiekiem, który przywykł radzić sobie z przeciwnościami losu i z każdej opresji wychodził obronną ręką. Wmawiał sobie, że to вина tych cholernych upałów, które ostatnio na szczęście zelżały. Tu i tak przecież oddycha się lepiej niż w Warszawie. Zmrużył oczy i spojrzał na niebo, jakby tam chciał znaleźć pocieszenie albo odpowiedź na dręczące go pytania. Po gwałtownym nocnym deszczu nie było śladu, ale od wschodu nadciągała ciemna, fioletowobrunatna plama. Powolny głęboki wdech, wydech, jeszcze jeden wdech i ból ustąpił. Za kilka godzin

będzie burza. A może wcześniej. Czerniejące powoli niebo kojarzyło mu się z siniakiem. Albo gangreną wyniszczającą ciało chorego. Gangrena. Kilka razy powtórzył w myślach to słowo, jakby chciał je zapamiętać. Gangreny należy pozbyć się jak najszybciej. I właśnie to zamierzał zrobić. Przypuszczał, że to kwestia kilku najbliższych minut.

Gdy zegar zaczął wybijać godzinę, drgnął. Niedługo będzie po wszystkim. Niech to się już skończy, pomyślał ze złością. Odwrócił się, odczekał chwilę i podszedł powoli do przeciwległej ściany, na której wisały dwa zdjęcia, a między nimi stary taternicki hak. Większe przedstawiało górę przeciętą czerwonym zygzakiem kończącym się na szczycie. Zbliżył twarz do fotografii, by przeczytać podpis. Wschodnia ściana Mnicha z zaznaczoną, ekstremalnie trudną drogą. Obok zdjęcie mężczyzny, który tę drogę, nazywaną „Wariantem R”, pokonał jako pierwszy. Spojrzał na zamieszczony przy nazwisku rok urodzenia oraz śmierci i nie miał wątpliwości, jaki los spotkał taternika. Pokochał góry, a one pokochały jego. Tak to brzmiało w romantycznej wersji. Nie rozumiał wspinaczy. Owszem, ryzykował wiele razy, ale nigdy nie był to bezinteresowny hazard. Taki wydał mu się czystą głupotą. A natura odsiewa głupców, bo takie jest jej prawo i logika postępu.

Położył dłoń na mahoniowej obudowie zegara. Piękna stara robota. Przyjrzał się metalowej, ręcznie malowanej tarczy i grawerowanemu napisowi: „London 1802”. Mahoń skrywał serce zegara, mechanizm oparty na dwóch wagach. Jakieś piętnaście lat temu kupił podobne cudo, potem

kolejne i jeszcze następne. Nie, nie zwariował i nie dopadła go obsesja upływającego czasu. Zegary, zwłaszcza te solidne, dwumetrowe, stojące, pamiętające czasy sprzed dwóch wojen, fascynowały go z zupełnie innych powodów. Stara, precyzyjna robota. A precyzję cenił ponad wszystko. Przez wiele lat nauczył się działać tak, by nie zostawiać śladów. Zawsze w cieniu i zawsze z przygotowanym planem awaryjnym. Planowanie to jedna z rzeczy pozwalających przetrwać. Dziś jego majątek był trudny do oszacowania dla postronnych obserwatorów, a już z pewnością mgławicowy dla skarbowki oraz innych wścibskich instytucji. Dzieło, które stworzył, było niewidoczne dla świata, i takie miało pozostać. Tylko przypadek mógł zakłócić funkcjonowanie tego precyzyjnego mechanizmu. Zresztą nie. To nie przypadek. To zwyczajna nieostrożność i błąd w sztuce. Nagłe zaćmienie, które sprawiło, że pojawił się jeden głupiec i wszystko zepsuł. A potem kolejny głupiec. Jeszcze chwila, i wszystko wróci na właściwe tory.

Pogłodził raz jeszcze drewno, jakby dotykał uda kobiety. Zegary to także konsekwencja. Nieuchronność. Nieubłagalność. Mimo upału nie zdjął lekkiej beżowej marynarki. Bezwiednie sięgnął do kieszeni i natrafił na przedmiot, z którym nigdy się nie rozstawał, jeden z dwóch talizmanów. Pomyślał kiedyś, że tylko te dwie rzeczy zabrałby na bezludną wyspę i miałby pewność, że nawet tam przyniosą mu szczęście. Miedziana poczerniała pięciogroszówka z 1949 roku wyglądała na jego olbrzymiej

dłoni jak strup. Znów był młodym, bardzo młodym człowiekiem walczącym o przetrwanie. Nieco zatarte przez czas wspomnienie. Było ich czterech i jeden zaczął pękać. A gdy pęknie jedno ogniwo, rozpada się cała reszta. Sypał czy nie sypał? Donosił czy nie donosił? Patrzył mu w oczy i nie potrafił tego rozstrzygnąć. Rzucił pięciogroszówką, i już wiedział, co trzeba zrobić. Gdy tamten spał, zakradł się i odrąbał mu głowę. Tak po prostu. Następnego dnia rzucił ją pod nogi dwóm pozostałym, odwrócił się i odszedł bez słowa. Kilka godzin później, gdy był już daleko, teren otoczono, a jego sentymentalni towarzysze, którzy postanowili zakopać ciało, zostali złapani. Jeden zgnił w więzieniu, o drugim słuch zaginął. Dowiedział się o tym wszystkim po kilku latach, gdy miedziana moneta zrosła się już na dobre z jego losem. Tym razem jednak nie będzie potrzebował jej pomocy. Wszystko jest przecież rozstrzygnięte. Pięciogroszówka powędrowała do kieszeni.

Stare zegary to także wieczność. On nie był wieczny i nie wierzył w bzdury dotyczące życia po śmierci, ale nie zamierzał jeszcze odchodzić. Wręcz przeciwnie. Jak zwykle doprowadzi wszystko do zwycięskiego końca. Wydało mu się, że otwierają się drzwi wejściowe. Poprawił nowy aparat słuchowy, do którego nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić, i czekał. Tak, nie pomylił się. Kroki były coraz głośniejsze. Szelest, cichy głos, stłumiony jęk. Uśmiechnął się. A więc jednak. Udało się.

Zdjął ze ściany hak, który tkwił w niejednej skalnej szczelinie. Wpatrywał się w drzwi, jakby chciał je w ten

sposób otworzyć. Klamka drgnęła.

Już się nie uśmiechał.

Wiedział, co powie na powitanie.

Martwe oczy o barwie nieprzeniknionej stali patrzyły na intruza.

— No więc... — zaczął.